

Dzień drugi



Wstęp	str. 1
Irena Jun	str. 2
Tomasz Florczak	str. 3
Jagoda Rall	str. 4
Jakub Zawadzki	str. 5
Sebastian Rzeszowski	str. 6
Monika Siara	str. 7
Ewelina Ferlejko	str. 8
Mieczysław Zajac	str. 9
Stefan Wąsik	str. 10
Katarzyna Flader	str. 11

Za nami drugi dzień zmagañ konkursowych. Zawsze w takich chwilach silimy się na pod-

sumowania, statystyki, oceny. A ja to ignoruję. Nie mam ochoty pisać czy było ciekawie, czy tak sobie. Mam za to ochotę na czysty subiektywizm. Uwielbiam konkursy recytatorskie, uwielbiam spotkania wywiedzionych ze słowa i uwielbiam monodramistów. Widzieliście w dzisiejszych czasach ludzi, którzy robią coś nie dla kasy i prestiżu, nie dla uznania i poklasku, ale po prostu dla innych i dla samych siebie? Jacyś głupcy! A może jurodowi – boży szaleńcy? Robią coś, bo kochają wychodzić na scenę, bo chcą mówić o rzeczach, które ich bolą i fascynują, odpychają i przyciągają. A właśnie tacy przyjeżdżają do Słupska. Nie wiem ilu przejmuje się czy zdobędą nagrodę, ale sądzę, że dla większości nie ma to znaczenia. Nie chodzi o brak szacunku do jury – tych cenimy i doceniamy – ale chodzi o wspomnianą miłość. Jeśli się kocha, to cokolwiek myśleliby inni, robi się to nadal.

A jednak mała statystyka. Zobaczyliśmy 18 prezentacji konkursowych, dwie imprezy towarzyszące: wzruszającą Natalię Sikorę i genialną, mistrzowską prof. Irenę Junw jednoaktówkach Becketta. Spędziliśmy ze sobą kawałek dobrego czasu. Wspominaliśmy, marzyliśmy, umawialiśmy się na następne spotkania. Mam nadzieję, że zabierzemy te emocje i klimaty, że spotkamy się w podobnym gronie za rok z nowymi monodramami i nowymi pomysłami artystycznymi. Jestem też przekonana, że znowu poprowadzą nas Ela i Darek – są nie do podrobienia. Bo w zaangażowanie Joli i całej ekipy Ronda na czele z Panem Dyrektorem – NIE WĄTPIĘ ! Dziś czeka nas werdykt jury. Najważniejsze jednak, by nie ustawać w marzeniach i dążeniach, by nie stracić tej wrażliwości, która wszystkich nas dotyka. Słupsk, jego Rondo i Nowy Teatr czekają na nas za rok i w następnych latach. Nie lubię, kiedy czas płynie (w końcu jak mówiła bohaterka jednej ze sztuk Krzysztofa Bizio „dla nas kobiet czas płynie jeszcze szybciej”), ale chciałabym znowu znaleźć się w Słupsku... ja za rok będę na pewno!

Irena Jun

Ukołysana ustami



Jun, Libera, Beckett – ze spotkania trzech tak wielkich osobowości, nie mogło wyjść nic innego jak tylko wspaniała sztuka, wielkie i prawdziwe emocje. Ogromne podziękowania należą się organizatorom za prezent, za dar, jakim był, kończący tegoroczny „Sam na scenie”, spektakl w wykonaniu Ireny Jun.

Cicho. Ciemność aż kłuje w oczy i roznieca ciekawość do granic wytrzymałości. I nagle szmer, ledwie słyszalny. Chyba słowo. Dotkliwy brak dźwięków przełamuje nagle głos Ireny Jun, a delikatny, skupiony promień białego światła obnaża czerwień warg. Usta zaczynają mówić, wyrzucają z siebie potężną dawkę emocji i informacji. Eufoniczno-kakofoniczna rzeka słów zalewa widzów. Właśnie – widzów czy słuchaczy?

W „Nie ja” grają przecież tylko usta Ireny Jun, nie widzimy jej twarzy, oczu, sylwetki. Mimo wszystko jednak jesteśmy widzami, bo czerwień warg, czasem aż bolesna, odgrywa przed nami przedstawienie. To jest prawdziwy spektakl emocji i słowa. Mistrzostwo aktorki objawia się właśnie w tym, że pokazując tylko wargi potrafi wciągnąć widza w bezprecedensową walkę swojej postaci o siebie. Czasem wydaje się, że tylko od tego czy usta – właśnie usta czyli nie-ja – powiedzą zależy życie pozbawionej

miłości kobiety. Oczywiście, jak to u Becketta okazuje się, że jednak nie, że usta przegrają z ciemnością.

Potem jest muzyka. Chyba Bach, ale nie mam pewności, to nie jest ważne. Ważne jest to, że choć to przerwa między jednym a drugim spektaklem przedstawienie trwa nadal. Na widowni pęcznieje atmosfera oczekiwania na to, co za chwilę się stanie. I oto jest – Irena Jun w całej okazałości, ale już zupełnie inna.

Na scenie tylko ratanowe krzesło bujane, na nim Cesarzowa monodramu. Ale nie ta sama. Stara, blada, zrezygnowana, z podkrążonymi oczami, które pobłyskując dyskretnie mówią o samotności. Żeby się uśmiechnąć, człowiek musi zaangażować ponad trzydzieści mięśni, żeby zrobić grymas – ponad połowę mniej. Bohaterka nie ma siły, by wykonać trud uśmiechu. Siedzi w fotelu bujając się raz to silnie, innym razem słabiej. W tym samym czasie, gdzieś z offu, wśród ludzi teatru mogą chyba pozwolić sobie na taki żargon, płynie głos. Słowa, które kołyszą bohaterkę do snu.

Dlatego właśnie Irena Jun nazywana jest Cesarzową monodramu, dlatego uznano ją za najlepszą odtwórczynię monodramów Becketta. Siedząc na scenie i nie odzywając się prawie w ogóle, patrząc tylko na widzów i dając im niesłychanie subtelne, nieomal niezauważalne, sygnały jest w stanie zbudować napięcie, które powoduje, że na linii scena-widownia bez mała iskrzy. Bo potrafi Irena Jun wykrzyknąć dramat, zrezygnowanie, potrafi opowiedzieć całe życie swojej bohaterki, prawie się nie odzywając. Bo potrafi sprawić, że chociaż sama nie płacze, nie szlocha i nie wierzga na scenie, widzowie płaczą nad bólem i dramatem samotności.

„Czas jej odejść” powtarza bohaterka równo z taśmą, a kiedy ta zamilknie, zawoła „Jeszcze” odwołując choć na chwilę moment, kiedy ów fotel, w którym jak jej matka siedzi w swej najlepszej czerni, ukołysz je do snu. Mówi sobie, bo „komu by miała”, wypatruje innego odsłoniętego okna, kiedy wszystkie inne zasłonięte, czeka na Godota. Gdy nadszedł kres długiego dnia, zeszła na sam dół po stromych schodach.

Dla nas – dla młodych adeptów sztuki teatralnej, tej amatorskiej – ale branej ze słowa amator = miłośnik – to była najlepsza nauka. Wielu profesjonalistów mogłoby nam pozazdrościć. Nie można powiedzieć nic innego, jak tylko – pani Ireno: Dziękujemy!

alep



Tomasz Florczak

„Jak gdyby nigdy nic”

Reżyserka, kaskaderka



Wczorajszy dzień rozpoczął monodram Tomasza Florczaka z Głogowa, który reprezentował Wojsko Polskie. Spektakl zatytułowany „Jak gdyby nigdy nic” wyreżyserował Piotrek Masoń.

Na scenie widzimy młodego chłopaka, który przeżywa dylematy, czy słuchać zacnego duchownego Juranda, czy też podążać za głosem mamony i „możliwości” dzisiejszego świata. Jak przekonywali mnie niektórzy widzowie, to realny problem współczesnych chłopaków spod bloków. Tomek zaskakuje od pierwszych sekund, bowiem w bardzo młodym, drobnym chłopaku tkwią duże możliwości aktorskie, potężny głos i wielka chęć bycia na scenie. Nic dziwnego, że widzowie z pierwszego rzędu chętnie weszli z aktorem w interakcję. Do wykreowania scenicznego świata wystarczyło mu czarne krzesło (stały rekwizyt monodramisty – wiem, co piszę ;) butelka pełna monet i bardzo umowny kostium – czarne spodnie i biała koszula – jak na prawdziwego rapsodyka przystało.

Nie będę tylko słodzić i przyznam, że nie weszłam w pełni w prezentowaną mi historię, czegoś w niej było brak, czegoś za mało, a czegoś nadmiar. Tomek spalał się, a ja nie mogłam palić się razem z nim. Ale może ktoś ma odmienne zdanie? Coraz mocniej utwierdzam się w przekonaniu, że nie da się dyskutować o sztuce w kategoriach wymiernych. To rzecz nie do uchwycenia, zależna od wrażliwości odbiorcy, jego kondycji i chęci. Mam jednak nadzieję, że Tomka zobaczymy w kolejnych latach edycji „Sam na scenie”.

eFKa



Jagoda Rall

"Angela"

„Już u dziecka przejawia się to, czego dokona ono później w życiu.”



Taniec przez całe życie.



Tegoroczna maturzystka Jagoda Rall na deskach Nowego Teatru w sposób urzekający, zaprezentowała nam spektakl „Angela” na podstawie „Mojego życia” Isadory Duncan. Po 14 godzinach spędzonych w pociągu na trasie Tarnów-Słupsk niezwykle utalentowana autorka scenariusza, reżyserka oraz aktorka ukazała nam fragment życia wybitnej choreografki, która zrewolucjonizowała historię tańca. Drobną, wręcz filigranową, młodą artystkę wcieliła się w postać samej Isadory Duncan; zdeterminowanej kobiety, wrażliwej artystki, nieszczęśliwej kochanki. Niebanalna scenografia własnoręcznie wykonana przez Jagodę, została użyta w dość niekonwencjonalny i zaskakujący sposób. Chociażby w scenie pogrzebu, w której aktorka wykorzystuje drewniany wieszak, głowę manekina oraz biały tiul do ukazania bardzo plastycznej wizji grzebania.

Monodram przepełniony ekspresywnością wyrażoną w głównej mierze poprzez ruch sceniczny, liczne gesty (chwilami niekoniecznie płynne i dopracowane, jednak nie utrudniające odbioru sztuki). Autorka przedstawienia popisała się również umiejętnościami wokalnymi nucąc fragmenty Marszu Żałobnego oraz utworu pochodzącego z filmu „Noce i dni”. Jagoda od samego początku niesamowicie wpasowała się w kreację bohaterki, przez co stworzyła jej obraz bardzo realistyczny i niezwykle emocjonalny. Biorąc pod uwagę fakt, iż młoda osoba w tak dojrzały emocjonalnie sposób ukazała Isadorę Duncan jako artystkę niepowtarzalną, fenomenalną, która inspiracje dla swojej twórczości czerpała wprost z samej natury, a także przeżyć jakich doświadczyła, tym bardziej doceniam jej wysiłek. Spektakl wywołał we mnie burzę skrajnych (pozytywnych) emocji (za co serdecznie dziękuję), związanych nie tylko z postrzeganiem tańca jako szeroko pojętej dziedziny sztuki, ale przede wszystkim jako środka pozwalający ukazać swoje emocje i wrażliwość. Bo przecież - jak mówiła sama Isadora Duncan - „Taniec był dla mnie ucieczką od szarej rzeczywistości, odnajdywałam w nim to, czego nikt nie mógł mi ofiarować.”

Siostra z Endem.





Jakub Zawadzki

„Seks, prochy i rock&roll”

„daj mi żyć! co ja potem powiem księdzu na spowiedzi?!”

„Nie, nie! To było subtelnie i artystycznie pokazane”



Najpierw krótki dialog z publicznością i poczęstunek orzeszkami. Gdyż ostatnio „jest szalenie modne przekąsić coś przed spektaklem”, a najlepiej coś egzotycznego. Przez chwilę czujemy się jak w amerykańskim show z prowadzącym o niezłomnym uśmiechu i w idealnie dopasowanym garniturze. Dopiero po ostatnim zdaniu wypowiedzianym z uśmiechem przez aktora, orzeszki, po które sięgnęli niektórzy widzowie, mogą stanąć w gardle – obżerajmy się egzotycznymi przekąskami z krajów, w których ludzie mogą jedynie o nich pomarzyć.

Po krótkiej chwili trwania w ciemności następuje kompletna zmiana. Gdy znów zapala się światło (swoją drogą bardzo interesujące połączenie niebieskiego z czerwonym), widzimy jak młody aktor kończy się przebierać, uroczo machając biodrami. Zataczając się lekko z butelką, zaczyna opowiadać napotkanemu koledze ostatnią imprezę. Jak się okazuje zorganizowany poprzedniego dnia wieczór kawalerski, był niezwykle udany. Niezliczone ilości alkoholu i narkotyków oraz towarzystwo dziewczyn o „łżejszych” obyczajach. Zach-

wycony bohater twierdzi, że znalazł swoją idyllę.

W tę rolę wcielił się Jakub Zawadzki z Katowic. W wyreżyserowanym przez Sebastiana Podleśnego monodramie „Seks, prochy i rock&roll” młody aktor pokazuje jak niektórym niewiele potrzeba do szczęścia – wystarczy fikcyjnie sielankowa droga do całkowitego wyniszczenia. Artysta przez humorystyczny pryzmat, pokazał dramat niejednego osobnika, który myślał, że znalazł najlepszy ze sposobów na życie. Widzowie zdawali się dobrze bawić, podczas spektaklu i nawet opis „dobrego pornola z fabułą” okazał się do przyjęcia bez zniesmaczenia. Młody aktor zaprezentował nam pozornie komediową historię, która dopiero swą puentą daje widzowi wymierzone uderzenie w policzek. Przecież to wszystko nasza piękna, idealna cywilizacja!

miho

Sebastian Rzeszowski

„Trzeba wyjść”



A wszystko przez szczura.

Jeden aktor – bo przecież monodram. Ale żeby praktycznie bez żadnych rekwizytów? Rzadko spotykane, choć bardzo cenione, chociażby na naszym festiwalu. Warto dodać, że twórcy podjęli się trudnego wyzwania, bowiem inspiracją do stworzenia spektaklu

stał się „Szczur” Witolda Gombrowicza. A jak wiadomo autor ten nie należy do najłatwiejszych w odbiorze. Wchodząc na salę, publiczność już mogła oglądać aktora w działaniu.

Cały tekst powiedziany został niezwykle lekko, przez co bezpośrednio dotarł do szerokiego grona odbiorców. Bohaterem



monodramu jest zbój Huligan – mężczyzna niepodlegający żadnym normom prawnym, człowiek frywolny, nie przejmujący się doczesnością. Wybranką jego serca stała się Maryna, lecz tak naprawdę nie wiedział czego oczekuje od związku. Skończyło się połknięciem szczura przez nią, a za kulisy „hyc, hyc”, „kic, kic”. Całość sztuki podsycana prześmiewczą nutą, tak naturalną dla autora opowiadania, który wyśmiewa to, co w polskości i ludzkości drażniące. Niezwykle istotnym elementem przykuwającym uwagę widza, było zaznaczenie ciała aktora kredą (kojarzy się to z działaniami policji, podczas zbierania materiałów z miejsca zbrodni).

Aktor doskonale wczuł się w mówiony tekst, momentami nawet chciałam żeby bardziej rozwinął się we własnej ekspresji. Widać u niego doświadczenie w pracy na scenie, wiarygodność i charyzmę. Według mnie jest to jeden z zasługujących na uwagę monodramów na „Sam na scenie”.

Siostra z Endem



Monika Siara

„Śmierćka”

„chyba jestem wariatką...”

Być, albo nie być?



W wykonaniu Moniki Siary zobaczyliśmy monodram „Śmierćka” (rosyjskie zdrobnienie od słowa śmierć) wyreżyserowany przez Pawła Srokę, na podstawie tekstów Olgi Tokarczuk. Bohaterką jest, jak można wywnioskować z kontekstu, nastolatka o lekko dekadentckim spojrzeniu na otaczającą ją rzeczywistość. Dziewczyna opowiada o swoich poglądach na śmierć i życie oraz sny. Uważa, że „lepiej być żywym niż martwym”. Ciekawym motywem przedstawienia była zabawa w umieranie, która miała na celu wykazanie, że „śmierć jest tylko inną formą życia”... Dziwne, aczkolwiek skuteczne.

Bohaterka wyraźnie źle się czuje w towarzystwie ludzi, unika ich. Twierdzi,

że ich nienawidzi. Osobiście wydaje mi się, że żywi takie uczucie, ponieważ ludzie jej nie rozumieją i nie akceptują jej odmienności. Mogą o tym świadczyć słowa: „chyba przestałam śnić wtedy, gdy zabito mi duszę...” Przestała śnić, czyli straciła marzenia - dlatego ogląda cudze sny...

Odniosłem wrażenie, że monodram był zrealizowany w sposób zbyt monotony. Aktorka przekazywała wciąż te same uczucia – brakowało mi urozmaicenia. Monika zasługuje jednak na wielką pochwałę. Pod koniec występu zepsuł się laptop, za pomocą którego miał być odtworzony sen bohaterki. Aktorka wybrnęła z sytuacji odgrywając daną scenę bez pomocy urządzenia.

Bohaterka zdaje sobie sprawę z tego, że wszystko, na czele z życiem, przemija i nie powinniśmy się przyzwyczajać do tego co nad otacza i do tego co posiadamy. Odzwierciedla to wypowiedź: „Słyszycie tykanie zegarków?” Czas ucieka nam wszystkim i im prędzej zdamy sobie z tego sprawę, tym lepiej...

Myś



Ewelina Ferlejko

„Dziewczynka z Z.”

„Im dłużej czekam, tym bardziej się boję.”



Ewelina Ferlejko „Dziewczyna z Z.”



Zwrócono mi uwagę, że moja ignorancja w stosunku do tego spektaklu bierze się z braku odpowiedniej dozy empatii. „Dziewczynka by zrozumiała, dziewczynom by się podobało” – usłyszałem. Pewnie i tak. Tylko co mam zrobić, z tym, że jestem mężczyzną i nie zmienię tego odpowiednio do spektaklu. Chciałbym, aby Ewelina Ferlejko do mnie dotarła i przemówiła. Tego żądam od spektaklu i jego wykonawczyń.

Co zobaczyłem? Pięć sekwencji o

różnych kolorach (biała, żółta, różowa, niebieska i fioletowa) i puentujący zdarzeni epilog, w którym pada wyjaśniające wszystko zdanie „jestem pięknym manekinem”. I mam pytanie, które może jest już nudne, no i co z tego? Gdzie jest myśl, umożliwiająca mi podążanie za aktorką, jej działaniem i słowem.

Wykonawczynię należy docenić za ogromną delikatność i podkreślić jej ogromny potencjał. Działanie powtarzające się w kilku sekwencjach, w którymś momencie zaczyna nudzić i nie wnosi nic dla odczytywania sensu. Interpretacja tekstu i podawanie słowa również nie uchroniło się od grzechu monotonii. Jednak to nie tylko to, co nie pozwoliło mi, niewrażliwemu, dostać się do problemu tekstu Marii Bereźnickiej – Przyłęckiej, który posłużył jako podstawa scenariusza. Dwa problemy były dla mnie kluczowe. Wspomniana materia tekstowa i całość obecności Eweliny na scenie. „Segregator pamięci” – takie wyrażenie pada w scenariuszu. Gdyby odnieść je do materii tekstowej to wydaję mi się, że zapis jest wybra-kowany, nieporadny. W samym tekście dużo niefortunnych zwrotów i określeń. Ujmując rzecz najkrócej: słaba literatura.

I znowu przyszło mi do głowy PKP. Poza wszystkim o czym pisałem, nie byłem w stanie dotrzeć do problemu, bo cała sprawa zagrana była dla mnie jakby „przez szybę”. Ja byłem w przedziale pociągu, a aktorka – Ewelina na peronie. Lub na odwrót. Teraz to bez znaczenia. Wierzę jednak w to, że umiejętności i wrażliwość Eweliny kiedyś zabiorą mnie i innych widzów w jeszcze niejedną teatralną podróż.

Nowak

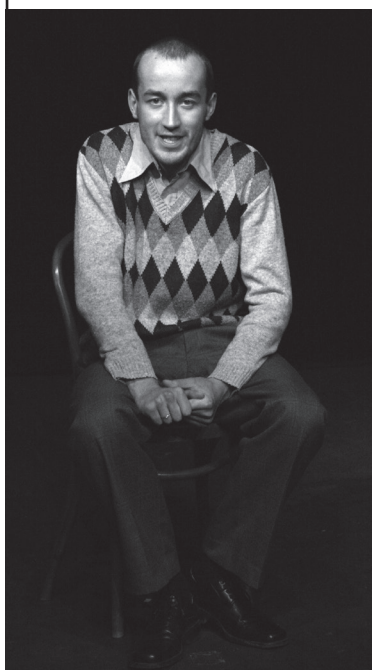


Mieczysław Zając

„Skąd ta wrażliwość”

„wiedziałem, że przylecicie!”

Prawie jak z Archiwum X

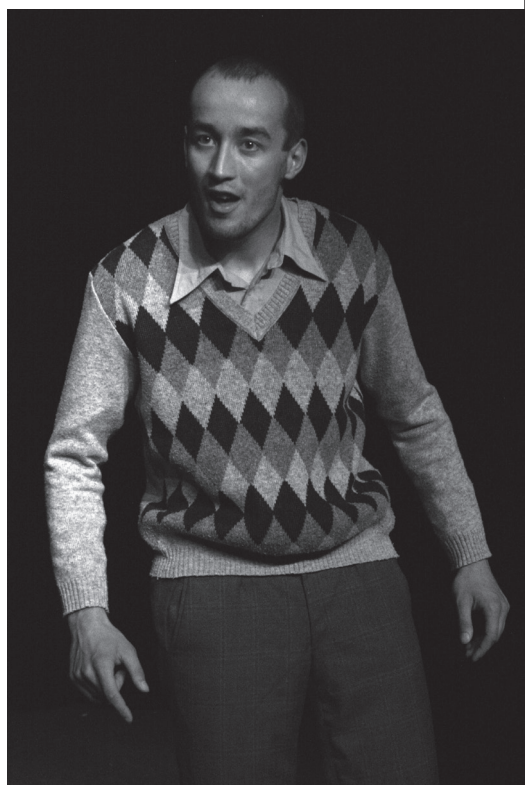


W przedostatnim spektaklu konkursowym pt: „Skąd ta wrażliwość” obejrzelśmy Mieczysława Zająca z Głubczyc. Spektakl wyreżyserowała Maria Farasiewicz, scenariusz zaś powstał na podstawie tekstu Ireneusza Iredyńskiego.

Monodram opowiada o młodym mężczyźnie, który miał okazję spotkać się z kosmitami, by móc opowiedzieć im swoją historię. Jego dotychczasowe życie składa się z pasma niepowodzeń, począwszy od nieudanego małżeństwa, przez alkoholizm, aż po kłamstwo, które zaciążyło na jego losie. Fascynacja literaturą science fiction doprowadziła do swoistej fatamorgany i zwidów, w których bohater dostrzega istoty pozaziemskie, które o dziwo wybiera na swoich powierników.

Opowieść mężczyzny jest bardzo szczegółowa i wielowątkowa, przez co dotyka problemów z różnych sfer życia. Natłok rozmaitych informacji komplikuje w pewien sposób odbiór historii, jednocześnie pozwalając na uwolnienie się i zapomnienie o „obecności obcych”. Nie do końca chciałam być utożsamiana z UFO, gdyż Mietek jako do obcych, zwracał się do publiczności (tak, może jesteśmy odrobinę dziwni, ale że aż tak? :) Godne podziwu zaś jest pamięciowe opanowanie tak dużego tekstu przez młodego aktora. Jak się okazuje, w sytuacji, kiedy chcemy się komuś po prostu zwierzyć, wygadać, nawet UFO może okazać się dobrym rozmówcą.

siostra bez-endu G



Stefan Wąsik

"Curiosa"

„Sztuka jest jak pełna kobieta...”



Ku pożywności ludzkości !



Jest już ciemno... - od tego się zaczęło. Jednak był to dopiero początek. Spektakl sponsorowany przez firmę Plexi-Sex (jak to poprawnie napisać ???), podczas którego reklamowany był krem Amnezja, nie mógłby zostać niezapamiętany. Niby wszystko po bożemu. No bo: i stół był, i dwa krzesła, a jednak użyte w nieco odmienny sposób. Lampka oświetlająca aktora w pierwszej scenie, w ogóle nie sugerowała publiczności z czym za chwilę będziemy mieć do czynienia. A całe zajście sceniczne zaskakiwało z minuty na minutę. W jednej chwili aktor był odważny niczym Antonio Banderas, następnie ukazywał się przed nami jako bardzo utalentowany muzyk (Och, jak on grał na harmonijce! Nie wspominając już o wirtuozerskiej grze na gitarze!). Z pewnością zobaczyliśmy także nieobliczalnego artystę, głoszącego teorie na temat sztuki.

Dzięki niemu poznaliśmy jej trzy podstawowe fundamenty (a były nimi: nieskończoność, sam artysta i oczywiście publiczność). Ważnym stwierdzeniem, godnym uwagi, stało się również porównanie omawianego tematu do pełnej kobiety, która przychodzi, oddaje się cała każdemu, bez zobowiązań, bez namysłu, nieoczekiwanie. Sztuka, co ważne, może być naga, lecz z pewnością nie jest jednoznaczna. Całe przedstawienie, choć utrzymane w dość prześmiewczej formie, mimo wszystko trafia do widza z odpowiednim przesłaniem. Stefan od samego początku niesamowicie dobrze się bawi, tym co robi, ale co ważniejsze w swoje szaleństwo wciąga też publiczność. Potrafi nawiązać z widzami kontakt, dodatkowo raz daje kartki, raz je zabiera. A wszyscy odpowiednio reagują na to, co serwuje na scenie. Z pewnością na długo zapamiętamy jego igraszki z gitarą, krzesła zamiast szcudeł, czy „bierzcie mnie” na stole. Cieszę się, że właśnie taka SZTUKA ukazała mi się przed oczami na zakończenie zmagani aktorskich festiwalu „Sam na scenie”.

Siostra Bez-Endu C.



Katarzyna Flader

"Oczami mojej żony"

„Czułam się jak balon po wyrzuceniu worków z piaskiem”

Reżyserem spektaklu pt. „Oczami mojej żony” jest juror tegorocznego „Sam na scenie” – Jan Zdziarski. Materiałem poddanym obróbce została Kasia Flader. Rozpoczyna się spektakl, w świetle stoi dobrze wszystkim znane, jakże popularne kszesło. Na scenę wychodzi kobieta, która w przepiękny sposób zaczyna opowiadać o swoim życiu. Mówi, że zakochała się w muzyku jazzowym, który wysłał ją do rodzinnej Pragi, a następnie uciekł z muzyczką jazzową do Wiednia porzucając narzeczoną. Po nieudanej próbie samobójczej bohaterka dochodzi do stwierdzenia, że nie ma siły na ponowne planowanie przejścia na drugą stronę i postanawia żyć. Dziewczyna marzy o tym, aby choć przez chwilę wyglądać „jak z żurnala” i poczuć się jak pszepyszny tort z kremem, do którego jej „papi” porównuje wytworne kobiety. Po zakupie sukienki, czerwonych pantofli i parasola, przechadza się samotnie po ulicach miasta. Tak wytwornie ubrana poznaje swojego przyszłego męża, pseudo-artystę alkoholika, który w przyszłości, o czym dowiadują się widzowie, przyspoży jej wiele powodów do zmartwień. Po roku małżeństwa jedynym zdającym się mieć moc jednoczenia ludzi ratunkiem wydaje się być kot. Mimo troski i opieki zwierzak ginie, a wraz z nim nadzieja na ratunek małżeństwa. Gwoździem do trumny tego związku okazują się być zalanie mieszkania pary. Publika spektakl odebrała bardzo pozytywnie. Aktorka pozwoliła widzom przenieść się na ulice Pragi, do mieszkania młodej pary i każdy czuł jak mały kotek przytula się do jego piersi. Mnie osobiście urzekły nie tylko emocje Kasi, ale także jej pełna świadomość słowa i gestu.



Siostra Bez-Endu W.